

Katarzyna Jakubiak

Nieostre widzenia



Katarzyna Jakubiak

Nieostre widzenia

Biuro Literackie • Wrocław 2012

PROZA 19

Katarzyna Jakubiak: *Nieostre widzenia*
REDAKCJA I KOREKTA • Joanna Mueller

RYSUNEK • Paweł Mildner
ZDJĘCIE • Beth Cardwell
OPRACOWANIE GRAFICZNE • Artur Burszta
SKŁAD • Mateusz Martyn
DRUK I OPRAWA • Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak, Poznań
WYDANE PRZY WSPARCIU • Miasta Wrocław
i Miejskiej Biblioteki Publicznej we Wrocławiu

Copyright © by Katarzyna Jakubiak
Copyright © by Paweł Mildner, 2012
Copyright © by Biuro Literackie, 2012

BIURO LITERACKIE
Przejście Garncarskie 2, 50-107 Wrocław
tel. 71 346 01 42, poczta@biuroliterackie.pl
www.biuroliterackie.pl

ISBN 978-83-63129-14-9

MASZ WIĘCEJ LAT, NIŻ MIAŁEŚ KIEDYŚ

I

Kilka wron uniosło się z wrzaskiem znad niewielkiego ciała szopa pracza rozjechanego pośrodku drogi. Odwróciłam głowę i spojrzałam przez porysowaną tylną szybę samochodu. Potrząsając piórami jak połami ciemnych płaszczy, wrony przysiadły w oczekiwaniu parę metrów dalej, w wysokiej trawie zrekonstruowanej prerii. Dwie dzikie gęsi przeleciały nad nimi, wyciągając szyje w szare strzałki, i zniknęły za kępą drzew. Ich bezsensowne gęganie jeszcze długo roznosiło się po drodze. Na jezdni wiatr rozdmuchiwał włoski szarego, prążkowanego futerka szopa, ukazując całą paletę odcieni różowego mięsa. Wśród jasnych pręg na wykręconym pysku nie mogłam już dopatrzeć się oczu; zamajaczyła mi tylko bura biel rozchylonych drobnych zębów.

Wyprostowałam się na siedzeniu. Za przednią szybą szare pasmo drogi wyginało się węzowato. Po obu jego stronach sterczały niskie domy. Pulchna, czerwona dłoń Jamesa ścisnęła kierownicę. Wnętrznosci wtopione w asfalt już dawno zniknęły za nami, a jednak ich widok nadal odbijał się na wszystkim, co leżało przede mną. Zęby, mięso, włosy przykleiły mi się do oczu i pozostały tam już do końca wieczoru.

Na gumowy nos, oblepiający moje cielesne nozdrza, założyłam plastikowe okulary z dolepionymi krzaczastymi brwiami. Nad górną wargą przyczepiłam czarne wąsy, bujne i szorstkie jak szczotka. Poprawiając fałdy szerokiej indyjskiej spódnicy w słońce, James zatrzasnął drzwi samochodu. Słońce, zawieszane nisko nad nieograniczonym niczym horyzontem, rzuciło w naszą stronę pęk

oślepiających promieni. Przeświliło cienki, orientalny materiał spódnicy, obrysowując cienie jego grubych ud. Tuż za odbiciem słońca zęby, mięso, włosy przesuwają się jak zjawy po białym brezeniu weselnego namiotu, wyglądają zza bukietów kwiatów na odświętnym podeście, wplatały się w apetyczne warstwy kanapek z szynką lub tuńczykiem ułożonych na stołach.

– Dziękuję, że ze mną przyszedłeś – szepnął James, przysuwając usta zbyt blisko mojego ucha, ale zaraz odsunął się gwałtownie, bo para młodych weszła już na podest po białych schodkach i rozpoczęło ceremonię.

– *No problem.*

A może i problem? Być na weselu dwojga ludzi, których prawie nie znam.

Towarzyszyć komuś, kogo znam niewiele lepiej. Słuchać małżeńskiej przysięgi ze sztucznymi wąsami i gumowym nosem na twarzy.

– To chyba nie jest normalne? Urządzać wesele jako zabawę przebierańców?

Jego okrągła twarz rozjaśniła się w uśmiechu jak u kota z Cheshire.

– Może to ekscentryczne. Ale po co traktować tę okazję śmiertelnie poważnie?

Słusznie. Szopy pracze to zwierzątka z filmów animowanych. Wchodzą do śmietników rysunkowymi łapami i chrupią resztki jedzenia białą namalowanych zębów. Szopy pracze powstają przez pociągnięcia pędzelka, a potem ktoś zapisuje je na taśmie filmowej. Dzięki temu nie są śmiertelne. Prawie.

Zęby, mięso, włosy. Na lewo kołysze się sombrero ozdobione kaktusami. Obok niego cylinder, na którego rondzie przyczaił się biały króliczek. Dalej jajko na miękko z rozbitą skorupką. Na mojej głowie zwykła, choć przewiązana wstążeczką, papierowa torba. W całym stroju najważniejsze miało być nakrycie głowy, *crazy hat*. John i Rebecca poznali się na obozie skautowskim, więc na cześć ich związku James założył zielony harcerski beret. Założył też szeroką indyjską spódnicę w słońce, nie wiadomo dlaczego. Słońce

wciąż wścibskimi promieniami oświetlało wzorzysty materiał. W innym punkcie namiotu oświetlało włosy. Ciemne włosy Rebekki opadające na białą suknię. Na włosach szalony kapelusz z wielką styropianową atrapą kawałka żółtego sera. *Crazy hats* Johna i Rebekki miały chyba symbolizować ich wzajemne uzupełnianie. Do kompletu z żółtym serem panny młodej na różowiućkiej, łysej głowie Johna wyrastało szare futerko uroczej, puchatej myszki, która wbijała w serowe dziury łakomy wzrok i oblizywała włochaty pyszczek foliowym językiem. Ponad serem i myszą wznosiła się złowieszczo wielka żółto-pomarańczowa papuga. Z rozpostartymi na boki skrzydłami i rozchylnym dziobem wyglądała tak, jakby za chwilę, skrzeczając, miała rzucić się do ataku. Żarłoczny, zakrzywiony dziób przysuwał się niebezpiecznie blisko raz do sera, raz do myszki, gdy właściciel papugi, który najwyraźniej udzielał ślubu, zadawał młodej parze zasadnicze pytania.

– Czy ty, Johnie, pragniesz pojąć tę tutaj Rebecę za małżonkę? – papuga z poważnym pytaniem w guzikowych oczach omal nie uniosła myszy za kark do góry jak smakowitą zdobycz. Potem przeniosła zafascynowany plastikowy wzrok na styropian sera:

– A czy ty, Rebecco, pragniesz pojąć tego tutaj Johna za małżonka?

Słoneczne, promieniste pióra wielkiej papugi. Pazury uczepione ciemnych, gęstych włosów. Pod włosami blada skóra, ciemne oczy, wąskie usta. Znam skądś te włosy, oczy, usta pod ptasimi pazurami... Joseph?

– Dlaczego Joseph udziela ślubu?

Koci uśmiech zniknął.

– On nie udziela ślubu.

Prawda. Jeśli szopy pracze wyciągają ze śmietnika śmieci, to nie są to prawdziwe śmieci ani nie jest to prawdziwy śmietnik. Śmieci nie cuchną, nie rozkładają się i nie ma w nich bakterii. Wszystko jest narysowane. Szopy pracze są tylko symbolem zwierzątek zwanych *raccoon*, które wążą prawdziwym amerykańskim ludziom do prawdziwych śmietników i wyciągają prawdziwe amerykańskie śmieci. John i Rebecca zgromadzili potrzebne papiery, zanieśli do

sądu, podpisali, co trzeba, przy urzędowym okienku. Formalnie, opanowanie, bez emocji. Teraz odgrywają przed nami symboliczną scenę. Po co traktować to wszystko śmiertelnie poważnie?

Nade mną znów kocie zęby. Ponad nimi małe zagubione oczy.

– John prowadził ceremonię na ślubie Josepha. Chyba lepiej powierzyć tę funkcję przyjacielowi, a nie jakiemuś nieznajomemu przedstawicielowi instytucji, prawda?

Tak naprawdę szopom zawsze chodzi o to, jak wyciągnąć śmieci bez wyciągania śmieci. Jak znaleźć ciepłe miejsce w śmietniku bez włożenia do śmietnika? Jak wybrać bezpieczną przystań instytucji, a jednocześnie podważyć jej sens? Ręka pod rozbitym jajkiem dyskretnie ociera łyzy. Cylinder cały się trzęsie, chlipiąc teatralnym tonem. Puchaty króliczek spada pod krzesło. Słońce świeci mu prosto w wełniane siekacze. A obóz skautowski, na którym się poznali? Wielka, międzynarodowa instytucja harcerstwa. Nie ma ucieczki od śmietnika.

– Dopóki śmierć nas nie rozłączy – zabrzmiała duetem ostatnia fraza przysięgi. Jedyna tradycyjna fraza w równocześnie poruszających się ustach nowożeńców, którzy sami ułożyli wszystkie pozostałe słowa. *Crazy hats* zadrżały w porywie oklasków. Papuga przygarnęła mysz i ser pod swoje promieniste skrzydła.

Sprytne, uświadomiłam sobie nagle, odtwarzając w myślach ich wzajemne śluby. Odgarnęłam z oczu włochate brwi, żeby lepiej widzieć przebiegłych bohaterów. Sprytne, szepnęłam do siebie olśniona, obserwując ich długi, namiętny pocałunek, zakończony triumfalnym wbiciem mysich siekaczy w ser. Sprytne: nie obiecali sobie wierności.

Goście z hałasem podnosili się z krzesel. James siedział jeszcze ciągle z głową pochyloną tak nisko, że harcerskim beretem dotykał prawie swoich pulchnych kolan. Zapisywał coś w małym „reporterskim” notesie, rozłożonym na indyjskiej spódnicy jak na obrusie. Zawsze coś w nim zapisywał. Kiedy pierwszy raz rozmawialiśmy ze sobą, powiedział, że notesik zawiera obserwacje, które chce wykorzystać w swojej powieści. A powieść, nad którą teraz pracuje, ma być powieścią o śmierci. To znaczy ma

być długim i zawitym listem pozostawionym przez kogoś, kto sam się zabił, a teraz swoim tekstem potrafi zabijać innych. Taki „literacki terrorizm”.

Musztardowe okładki notesu otoczone przez słonie ze wszystkich stron. Jajko, przeciskając się w stronę pary młodych, strąciło Jamesowi z głowy harcerski beret na zaśmieconą pierwszymi okruchami kanapek podłogę. Podniósł szybko swój *crazy hat* i wstał, sapiąc ciężko.

– Ta część nie pasuje mi do prawdziwego tematu.

– A jaki jest prawdziwy temat?

Drobne oczy zaszklily się przez chwilę.

– Samotność. To ona jest terrorystką.

Obsługa wesela usunęła ślubny podest tak błyskawicznie, jakby zabierała nosze z pacjentem w ciężkim stanie. Stoły, pełne papierowych tac, przesunięto spod ścian na środek namiotu. Pod plastikowe okna, za którymi słońce rozpalało czerwone ognisko, wtoczyła się chłodziarka, obiecująco oklejona etykietami alkoholu. Z wieży popłynęła muzyka. Zielona plamka beretu Jamesa zniknęła mi z pola widzenia, kiedy, poruszając bujnymi wąsami, całowałam pociągłe, opalone policzki Rebekki i ściszałam grubą, różowiutką szyję Johna, z niewytłumaczalnym poczuciem lęku przed mysimi zębami. Ale kiedy mysz przytulona do sera zaczęła kołysać się w rytm przebojów country, James pojawił się przy mnie, ściszając w dłoniach dwa papierowe kubki pełne chilijskiego wina. Do młodych na parkiecie dołączyła mafijna fedora, wgniatając się namiętnie w ozdobiony grafitowymi liliami kapeluszczyk czarnej wdowy.

Popijałam wino w milczeniu coraz większymi łykami. Cierpkie, ciężkie winogrona skapywały mi do żołądka i zalegały coraz bardziej jak przetaczające się w tę i z powrotem metalowe kule, kiedy zerkałam na zakochane spojrzenia pary młodych. Nie tylko zęby, ale nawet cała mordka myszy, głęboko, prawie po same błyszczące, szklane oczy, zanurzona była w serze. Zielony harcerski beret Jamesa kołysał się wolno w takt muzyki, stopniowo zajmując całe moje pole widzenia.

Ciężka burzowa chmura zieleni zawirowała mi przed oczami. Przemknęło puchate zwierzęce futerko z zębami wyszczerzonymi na całą szerokość pyska. Ciemne lilie zatrzepotały obok koroną papierowych płatków. Czy to kule winogron, w nieskończoność wałkujące wnętrzości, czy przeszywający głos Williiego Nelsona tak na mnie podziały, że ogarnęła mnie nagle niezrozumiała i natrętna nostalgia za harcerstwem?

Świeża zielen beretów lub chmurna szarość rogatywek, poliestrowy dotyk chusty zbieranej skórzanymi pierścieniami pod szyją i pieszczota czarno-białych getrów na łydce. Tajemnica nocnych wart w cichym lesie i świetliki wieczornego ogniska. Niczym omen przesunął się obok kapelusz w kształcie donicy, z którego wyrastał plastikowy świerk, a zaraz za nim potoczyła się w tańcu płócienna rogatywka. Nie spuszczać wzroku z zielonego beretu, pozwoliłam, by miękkie, potężne ramię Jamesa poprowadziło mnie do tańca.

– Jeździłeś w tym berecie na obozy skautowskie?

– Tak, jeszcze pachnie dymem – zabrzmiał szept jak szum leśnych liści, a igły choinki obok załśniły w sztucznym świetle. Gdybym mogła płynąć tak w nieskończoność, podążając za beretem i muzyką, której pojedyncze dźwięki śpiewały chwilami „Płonie ognisko w lesie”... Ale jakaś nieokrzesana czerwona łapa przerwała trans, chwytając Jamesa za szerokie bary.

– A teraz będziemy odbierać zakłady! – krzyczał zadowolony z siebie starszy mężczyzna o czerwonej jak homar twarzy, ubrany w strój kowbojski, tak kompletny, że zza pasa zwisała mu szeroka pętla laso. – Czy ten facet ma pod spódnicą majtki, czy nie? Wszystkie pieniądze na rzecz młodej pary!

Szmer jak szelest tajemniczych zwierzątek w śmietniku przepłynął przez strumień gości. Okrążył rozbawionego kowboja i zaskoczony Jamesa. Goście przepychali się i przekrzykiwali nawzajem, pociągając rękawy eleganckich koszul, prostych, szykownych bluzeczek, zwykłych podkoszulków. Nagle wszyscy ściskali w dłoniach pliki zielonych papierków:

– Ma! Nie ma! Ma! Nie ma!

Na odległej ścianie namiotu gasnąca plama słońca. Bryła chłodziarki, na której płoną kuszące etykiety. Chilijska winorośl nawołuje z dala od tłumu. Zielony beret zatrzymał się żałośnie w pół marszowego kroku. Jajka, cylindry, sombrero, fedory nacierają na niego ze wszystkich stron. Nie mogę go tak zostawić.

Nie wypuszczając z dłoni kubka, poszperałam w torebce jedną ręką, wyciągnęłam zmięty banknot dolarowy i podałam go kowbojowi.

– Nie ma! – powiedziałam głośno poprzez gęstwinę wąsów, spod plastikowych okularów rzucając Jamesowi pełne otuchy spojrzenie. Kowboj, postukując ostrogami, popychał go już przed sobą w stronę Rebekki.

– A teraz panna młoda sprawdzi, jak jest naprawdę!

– Wujku! – zaprotestowała Rebecca. – Niech John sprawdzi.

Kowboj potrząsnął groźnie sznurem lasso i tupnął w ziemię uzbrojonym obcasem. Przez chwilę oboje sprzeczali się półgłosem, mocno gestykulując. Wreszcie, wzdychając ciężko, Rebecca uknęła na ziemi, dwoma palcami uniosła rąbek indyjskiej spódnicy i szybko zajrzała pod spód.

– Ma! – powiedziała z ulgą i wstała, otrzepując sukienkę.

– Ma! – kowboj uderzył pięściami o stół pośród aplauzu tych, którzy dobrze postawili. Potem wsunął Rebecce za dekolt garść banknotów. – Wszystkie pieniądze i tak dla młodej pary!

Uniosłam rękę z wyciągniętym kciukiem w stronę Rebekki i puściłam oko, podkrecając sztucznego wąsa. Zielony beret ciągle pochylony. Pachnie dymem. Spódnica w słońce, po której wędrują zawstydzone, pulchne ręce.

Dotknęłam delikatnie zielonego beretu, unikając jego wzroku.

– Mogłeś nie zgodzić się na ten kabaret.

Dłoń zsuwa się bezwładnie ze spódnicy.

– Nieważne. Wszyscy dobrze się bawili.

– Ale Rebecca coś niezadowolona – wskazałam głową w stronę oddalającego się sera.

– Wiem. Chodzi jej o to, że wuj Sam skupił za bardzo uwagę na konotacjach heteroseksualnych. Gdyby John zajrzał mi pod spódnicę, byłby to gest w stronę homoseksualistów.

To chyba nie było tak. Szopy buszowały przy tylnych drzwiach domów. Setki trąb wyginały się jak dziwaczne korzenie. Opuściła rąbek spódnicy, jak mogła najszybciej. Nie chciała zobaczyć więcej.

Spojrzałam na słonie, jakby próbując się upewnić, czy Rebecca nie skłamała. Ale słoniowe trąby i cielska przykrywał już otwarty ponownie notesik. Kolejne niebezpieczne słowa. Postukał długopisem w pustą stronę i przysunął się do mnie tak blisko, że prawie musnął mi twarz zieloną wełną:

– Jak się pisze twoje imię? Tę dłuższą wersję?

Napisałam, stawiając osobno każdą drukowaną literę.

– A jak się pisze *Hello* po polsku?

Nakreśliłam znowu duże, wyraźne litery.

– Myślałam, że masz tu tylko notatki do swojej powieści.

– Bo to prawda. Teraz chcę napisać coś w twoim języku. Jak będzie *Good bye*?

Napisałam, a on zapytał o kolejny zwrot. A potem o jeszcze następny. Wypisywałam długie kolumny rozmówek polsko-angielskich, strona po stronie. Dodawałam polskie słowa do długiego pośmiertnego listu szerzącego terror. „Zaraz, zaraz, czy taki miał być prawdziwy temat?” – próbowałam sobie przypomnieć, ale pisałam dalej, każde słowo, o jakie mnie poprosił, kiwając uwodzicielsko zielonym beretem. Donica ze świerkiem usiadła przy stole obok jak teatralna dekoracja i nie zniknęła mi z pola widzenia. Z zapachem lasu i ogniska mieszały się ulotna woń tuńczyka lub mniej ulotny zapach wina albo whisky. Fedory, sombrera, cylindry, jajka kołysały się obok nas w tańcu, mlaskając głośno. Co jakiś czas, gdy melodia zdawała się przypominać harcerskie piosenki, porzucaliśmy notesik wśród zgniczonych serwetek i brudnych jednorazowych talerzy, żeby dołączyć do par na parkiecie.

Poza tymi przerwami sumiennie kontynuowaliśmy naukę.

– Jak napiszesz: *Your eyes are beautiful?* – zapytał, gdy doszłam już do ostatniej strony notesu i poprzez mgłę spowijającą myśli zaczynałam ponownie dostrzegać prawdziwy temat. Niezdarnie powtórzył polskie słowa, patrząc na mnie z napięciem. Potem poczerwieniał na policzkach i za uszami, ostrożnie poprawił beret, przełknął ślinę i wyszeptał jednym tchem:

– A jak będzie: *Your ass is beautiful?*

Kiedy w notesie została już tylko jedna linijka, głosem łamiącym się jak gałązki na ognisko zapytał o zwrot *I'd like to fuck you*. Ale na dźwięk słowa „pieprzyć” twarz mu pobladła, a język w szarpanych konwulsjach ustach zaplątał się w tysiąc niemożliwych supełków. Splunął z niesmakiem w chusteczkę i zerknął niepewnie spod beretu.

– Może pojedziemy teraz do mnie?

II

Beret pochylał się nad kierownicą: ciemniejsza elipsa na tle jaśniejszego nieba i rzadkich sylwetek drzew. James prowadził samochód w milczeniu, od czasu do czasu posykując pod nosem, jakby ulatniała się z niego cała nagromadzona podczas nauki polskiego śmiałość. Minęliśmy znów ciemną plamę rozjechanego szopa. Nocne cienie rozlały się wokół niej nierówną kałużą i przesuwały się wolno w światłach reflektorów, tak że martwe mięso zdawało się pełzać mozolnie po asfalcie.

Minęliśmy potężny czerwony silos sterczący samotnie nad płaskim terenem farmy. Zostawiliśmy za sobą długie przestrzenie pól. Rzędy „zapałczanych” domów. Oślepiające i sztuczne osady galerii handlowych.

Jak próżnia wessały nas wreszcie dziewiętnastowieczne budynki miasteczka. Letargiczne, prawie wymarłe. Parking przed dwupiętrowym domem, na parterze którego James wynajmował mieszkanie, przyjął nas natychmiast w swoje puste, obrysowane żółtymi liniami miejsca. Drżącymi rękami otworzył drzwi wejściowe, objął

mnie mocno w pasie, a potem, nie zapalając światła, przeprowadził szybko i stanowczo jak ochroniarz przez pierwsze pomieszczenie, małą kuchnię, z barykadą pustych tekturowych pudeł w jednym kącie. Potem pokój. Pokój równie mały jak kuchnia. Gdybym stanęła pośrodku i wyciągnęła ramiona na całą szerokość, dotknęłabym obu jego ścian. W ciemności zauważyłam zarys niewielkiego biurka z komputerem, niskich półek z książkami i stojaka z płytami kompaktowymi pod prostokątem znaczonego punktami światła okna. Obok masywna bryła wieży. Pulsujący, niewidzialny ból w prawej łydce. Nie zauważyłam wersalki, o którą nagle się potknęłam, i upadłam na wytarte siedzenie, pociągając za sobą Jamesa. Rdzewiejące sprężyny zaskrzeczały żałośnie.

– *Sorry, sorry*, tam dalej jest jeszcze jeden pokój. Sypialnia. Mam łóżko – tłumaczył, próbując podnieść ze mnie ciężki kloc ciała. Spoconymi palcami przygniatał mi ramiona i wbijał kolana w moje obolałe łydki. Zrzucił na podłogę plecak, który wciąż jeszcze zwisał mu z ramienia, trącąc mnie przy tym w głowę. Wreszcie przetoczył się po mnie jak walec i upadł na siedzenie wersalki. Wypchnięta masą jego ciała zawisłam na samej krawędzi. Prawa noga zsunęła mi się z poduszek i ślizgała się teraz wśród sterty książek i kaset wideo rozsypanych na szorstkiej wykładzinie. Prawą ręką uczepliłam się desperacko blatu biurka, a lewą nogę mimowolnie oplotłam wokół grubego uda. Przyciągnął mnie do siebie ramieniem i przytrzymał, żebym nie spadła. Wreszcie odzyskałam równowagę, ale ciało Jamesa i tak zajmowało prawie całą przestrzeń wersalki, pozostawiając dla mnie tylko cieniutki pasek nadprutego siedzenia.

– *Pszy-preszam* – w niepewnym głosie dźwięczała duma, że zapamiętał polski zwrot. – Wygodnie ci?

– Tak sobie – starałam się unikać kropel potu, które spadały mu spod pachy.

Pod spódnicą w słońce coś sterczało wyraźnie i wysoko, sprawiając, że indyjski materiał unosił się nad powierzchnią wersalki jak miniaturowy orientalny namiot. Obrócił się lekko w moją stronę i wbił twardą sztachtetę namiotu prosto w mój brzuch. Siedzenie

zafalowało jak materac na wodzie. Potem niezdarnie uniósł do góry moją długą, wąską spódnicę i nieśmiało wsunął dłoń między moje uda. Wodził po nich spoconą dłonią wolno i niepewnie, jak ktoś, kto, chcąc zapalić światło, maca w ciemnościach ścianę w poszukiwaniu kontaktu.

– Poczekaj! – jego dotyk na tak wrażliwej części ciała poruszył we mnie skulony we śnie niepokój. Budziłam się chyba z groteskowego koszmaru. Harcerstwo, beret, namiot, mysz, ser. I jeszcze słońce. Olbrzymie słoniowe ciała. Co ja tu robię? – Poczekaj! – krzyknęłam prawie. – Puść jakąś muzykę.

Uniósł się na łokciu, sapiąc. Choć starał się być ostrożny, wgniół mnie lekko w poduszki, zanim wygramolił się z wersalki. Poczłapał do wieży pod oknem, zapalił lampkę na biurku i zaczął grzebać w płytach.

– Właściwie nie mam żadnej muzyki, która pasuje do... No wiesz.

– Nie musi pasować... to znaczy... puść cokolwiek – wypląłam roztargnione słowa.

– Znasz to?

Oparłam się na łokciu, próbując zobaczyć okładkę kompaktu, który trzymał w rękach.

– Wszystko jedno.

Podniosłam się z wersalki i rozejrzałam po pokoju oświetlonym słabym blaskiem lampki. Na oparciu wersalki siedziały rzędem pluszowe zabawki. Mały różowy prosiaczek z zieloną apaszką pod wystającym ryjkiem; szara myszka z nienaturalnie dużymi uszami i szerokim, czarnym, wełnianym uśmiechem, spod którego odklejały się trochę burobiałe siekacze; sfilcowany szop prac z pręgowanym ryjkiem, rozpruty na szwie tuż przy trójkątnym lewym uchu. Prosto nad zabawkami, oprawione w szklane antyramy, wisiały trzy plakaty z reprodukcjami obrazów Francisca Bacona. Same tryptyki. Na pierwszym kupy mięsa przewalały się w trzech kadrach po brudnych materacach, przy szarych ścianach i sufitach, u których kołysały się pojedyncze żarówki na długich kablach, jakby wprowadzone w ruch ruchem mięsa. Żarówki obracały

się tym samym torem światła, co splątane ze sobą ciała w kolorze nieświeżego schabu. Linię obrotu malarz zaznaczył cienką czarną strzałką wygiętą w okrąg. Zdawało się, że właśnie to rozpięte koło jak diabelski młyn przetacza mięso to w jedną, to w drugą stronę, czasem na samą krawędź obscurnego łóżka. Ze zbitej masy gdzieś wystawały jeszcze stopa, udo, głowa, pośladki; gdzieś brunatne cienie rozlewały się na materacu jak odrażające wydzieliny. Ale ciała i tak nieodzownie zlewały się ze sobą, jakby już żaden tor światła nie mógł odwrócić ich rozkładu.

Pozostałe plakaty przedstawiały dwie wersje słynnego *Ukrzyżowania*. Na obu jasnymi kolorami odznaczały się od tła zabandażowane, wyszczerzone drobne zęby i skurczone lub powyginane, wrzeszczące niby-gęsie szyje. W późniejszej wersji obrazu zębątych szyjom towarzyszyło dostojne tło głębokiej czerwieni; spowiadało je bogate sukno, a równe linie bordowych kwadratów ujmowały je w wyraźne ramy tak, że wyglądały jak usadzone na tronach. Ale we wcześniejszej wersji Bacon, dużo wtedy młodszy, przedstawił wygięte szyje na rozkrzyczanym tle wściekłego pomarańcza, zaplątał je w nieregularne pociągnięcia pędzla, ustawił w towarzystwie kuchennego stołka, chybotliwego krzesła, nierównej plamy na podłodze, obrośniętej włosami nastroszonymi jak sedesowa szczotka.

James zamknął z trzaskiem klapę odtwarzacza i odwrócił się w moją stronę.

– Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli zapalę? – zapytałam, nie spuszczając wzroku z plakatów.

– Oczywiście, że nie – wyciągnął ramię na całą długość i uchylił okno. – Nie wiedziałem, że palisz.

Błysk zębatej paszczy nad moją głową.

– Tylko kiedy coś mnie gryzie.

Z odtwarzacza, do tej pory rozbrzmiewającego jedynie nasilającym się bzyczeniem płyty kompaktowej, buchnęła muzyka i głos, którego nigdy wcześniej nie słyszałam, zaśpiewał po angielsku mocno, słodko i cynicznie:

*Masz więcej lat, niż miałeś kiedyś
Niż miałeś kiedyś
Niż miałeś kiedyś
Masz więcej lat, niż miałeś kiedyś
I będziesz coraz starszy.*

– Ale co się stało? – zapytał James przesadnie cukierkowym głosem. – Smutno ci? Może mogę coś na to poradzić? – jeszcze raz położył dłoń na moim udzie.

Szarość rozchylnych zębów. Czerń odsłoniętego podniebienia. Wściekły pomarańcz tła. Cyniczny śpiew w ciemności. Odsunęłam się o kilka centymetrów.

– Odwieszysz mnie do domu, dobrze? – z papierosem w wyciągniętej ręce rozejrzałam się za popielniczką. Podsunął mi niebieską puszkę po Pepsi, którą wyciągnął spod wersalki. Resztki płynu zachlupotały o aluminiowe ścianki.

– Dobrze – spuścił głowę, próbując ukryć rozczarowanie. W spoconych dłoniach gniótł zielony beret, który cisnął wreszcie desperackim ruchem na podłogę. Nie zauważyłam nawet momentu, kiedy zdjął z głowy swój *crazy hat*. W moich myślach wszystkim jego ruchom – upadania, przetaczania się, gramolenia, wstawania – towarzyszył przyklejony do włosów harcerek beret. Wyciągnął rękę po plecak.

– Szukasz notesu? Chyba zabrakło ci już stron do pisania?

– Nie, chusteczki. Leci mi z nosa.

– Naprawdę masz zamiar wykorzystać w powieści te polskie zwroty? – spytałam, odwracając głowę, żeby nie widzieć, jak smarka.

– Oczywiście – zaśmiał się niepewnie. – Wymyśliłem właśnie. Taka będzie przyczyna śmierci. Bohatera i czytelników. Niemożliwość wymówienia... jak to było... pszepzypszepzypszyp? – Zwrócił się w moją stronę, znowu próbując mnie objąć. Zesztywniałam i nastroszyłam się jak kot. Iskra papierosa między moimi palcami błysnęła groźnie.

– Naprawdę chcesz wracać do domu? – zapytał po chwili milczenia.

– Naprawdę.

Dopiero teraz zauważyłam, że na biurku, obok klawiatury komputera, płoną dwie niskie świece. Spokojnie i cicho, jakby paliły się tam od zawsze. Nie widziałam w ogóle, kiedy je zapalił. Płomienie unosiły się smukłą linią z kwadratowych naczyń świec, wypełnionych przezroczystą substancją, pomarańczową jak tło pierwszego *Ukrzyżowania*. Dym pachniał gorzkimi mandarynkami. Odbicie ognia falowało na szkle osłaniającym plakaty, rozbijane sporadycznie światłem reflektorów samochodowych zza okna zakrytego żaluzjami.

Świetliki ogniska, ludzie mówiący do siebie półgłosem, błyszczące oczy zwierzątek ukrytych za drzewami. A potem muzyka i taniec, zielone nakrycia głowy, szalone kapelusze, uroczyście wypowiedane obietnice, mysz przytulona do sera, mysz zatopiona w serze, sfilcowane futro myszy stopione z cuchnącym serem, mysie zęby bez myszy, zębata mordka na asfalcie pozbawiona oczu, futerko falujące w podmuchach wiatru i mięso. Bez końca obracające się mięso.

Zgasły węgielki ogniska, aż do samego końca, aż do długiej kłody drewna wygiętej jak gęsia szyja, która połknęła zaokrąglony sęk żaru. Została czarna wypalona dziura, pręgi jasnego popiołu przesypywane przez wiatr. Wrzuciłam niedopałek papierosa do puszki. Zasyczał cicho w ciemności. I nagle znów we mnie buchnęło: pomarańczowy kwadrat światła dźgnął mnie w brzuch ostrym rogiem i gęsia szyja otworzyła żalostną paszczę, kikutem kończyny oparta o włochatą plamę.

James wpatrywał się we mnie w napięciu ciemnymi oczami. Drzazgi pomarańczowego światła kłuły go w pulchne, czerwone policzki; oświetlały króciutko przycięte włosy, rozjaśniając pojedyncze nastroszone kosmyki. Ciemna plama zielonego beretu leżała na ziemi, przypominając olbrzymi zeschnięty liść. Pasy światła samochodowych zza okna penetrowały pokój z nieregularną częstotliwością. Błyszczały martwe oczy pluszowych zwierzątek usadzonych rzędem na oparciu. Kawalki żółtawej gąbki znad rozprutego ucha szopa pracza przyprószyły siedzenie.

Znów spróbował mnie dotknąć. Przejechał opuszkami palców po moim udzie, potem niepewnie cofnął rękę i znów ją wyciągnął. Na wewnętrznej stronie przedramienia zauważyłam w krótkim błysku światła niewyraźną bliznę ciągnącą się od nadgarstka.

Zębaty łeb nad nami zwiesił się ze wstydem. Samochód z warkotem przejechał za oknem i reflektory ułożyły na nas długie, jasne pazury, kiedy przycisnęłam się do jego pulchnego ciała. Pociągnęłam go za sobą tak, że znów położyliśmy się na jęczącej wersalce. Indyjski materiał w słońce nadal tworzył żalostną wypukłość w okolicach krocza. Szeregi ciemnoniebieskich zwierząt, splecionych ze sobą ogonami i trąbami, wędrowały poprzez uda w dół, aż po lamówki w wymyślnie zakręcane liście. Unikając jego ust, powoli wsunęłam rękę pod złożoną kompozycję indyjskich wzorów i przesunęłam dłoń po grubym udzie w górę, pod miękką bęben brzucha. Nie miał! Czyżby Rebecca skłamała, czyżby nie zobaczyła dokładnie, a może po prostu zdjął je niepostrzeżenie, kiedy wpatrywałam się w plakaty? Tak czy owak, jednak wygrałam zakład. W ręce trzymałam rozpalone ciało. „Poczekaj”, szumiało mi w głowie w obu językach naraz, a zębata paszcza kłapała do taktu. „Jeśli chcesz, ścisnę mocniej. Jeśli chcesz, zrobię to za chwilę bardziej dynamicznym i miarowym ruchem”. Na razie jednak głaskałam rozpalone miejsce łagodnie i bez pośpiechu, jakbym głaskała małe, wystraszone, puchate zwierzątko. Wygięta szyja, rozchylone drobne zęby w rozprutej mordce, coraz bardziej matowe włoski futerka i różowe, ciepłe, spocone od słońca mięso.

– Cicho już, cicho – nie przestając głaskać, szeptałam po polsku nie wiadomo do kogo. – Cicho, cicho. Wszystko będzie dobrze.

SPIS TREŚCI

Wycinki	7
Historia	18
Sezon jasnowidzów	41
Ameryka!	50
Masz więcej lat, niż miałeś kiedyś	68
Pierwsze polowanie	83
Czysta woda	95
Cisza w X	112
Pani Dorota	121
Bojownik	128
Obietnica	144
Nieostre widzenia	155

Książka dostępna w księgarni





Katarzyna Jakubiak

Urodziła się w 1973 roku. Pisarka, tłumaczka, wykładowczyni akademicka. Pracuje na Millersville University w Pensylwanii, gdzie wykłada współczesną literaturę amerykańską, brytyjską i postkolonialną. Laureatka nagrody „Literatury na Świecie” w 2006 roku za przekład tomu wierszy Yusefa Komunjaki *Pochwała miejsc ciemnych*.

ISBN 978-83-63129-14-9



9 788363 129149 >

cena 37 zł